

PRAGNIENIA 1 PRZEBACZENIE — miki

Od autora: "Przebaczenie" jest krótkim opowiadaniem ze zbioru "PRAGNIENIA". Nie jest pierwszym, ale jednym z krótszych. Publikuję je na początku abyście mogli zapoznać się z klimatem całego zboru.

PRZEBACZENIE

Dom seniora. Zamieszkują go ludzie z różnych warstw społecznych od prostego robotnika do emerytowanego profesora uniwersytetu. Ja zamieszkałam w nim dwa lata temu. Dzisiejszy dzień nie należy do najlepszych. Lekarz siedzący przy łóżku jednej z pensjonariuszek nie wróży nic dobrego. Wszyscy mieszkańcy znają ją doskonale. Nikt tak jak pani Zofia nie potrafi opowiadać dowcipów by rozbawić towarzystwo. Zawsze uśmiechnięta szczerza i przyjaźnie nastawiona, chociaż ostatnio jakby przycichła, częściej można ją było zobaczyć zadumaną ze wzrokiem utkwionym gdzieś bardzo daleko. Całkiem niedawno ktoś ją zapytał – co tak myślisz i tak nic nie wymyślisz? Odparła – już niedługo spotkam się z moim Frankiem. Dziś wszyscy stłoczeni w maleńkim pokoiku przyszli pożegnać koleżankę i jak to zwykle bywa w większej grupie myśli ich były bardzo różne. Jedni zazdrościli jej, że będzie to miała już za sobą a inni cieszyli się, że to jeszcze nie ich pora. Nagle wzrok kobiety leżącej na łóżku, który do tej pory był mętny i całkiem obojętny ożywił się i wyraźnie skierował w kierunku drzwi. Głowa uniosła się a na twarz spłynął uśmiech. Przyszedłeś po mnie kochany, wiedziałam, wiedziałam. Wyszepiała. Osoby stojące pomiędzy łóżkiem a drzwiami rozstąpiły się nieco i spojrzały w czeluść korytarza czekając jakby na czyjeś wejście, lecz nikogo nie było. Nawet lekarz wstał z krzesła jakby nie chciał siedzieć komuś na drodze. Kobieta na łóżku z wielkim wysiłkiem uniosła prawą dłoń i cichutko rzekła – Jestem gotowa. Trwała w takiej pozycji przez kilka sekund potem ręka opadła a oczy zamknęły się. Ci, którzy przed chwilą lekko się rozstąpili z dziwnym wyrazem twarzy zrobili jeszcze więcej miejsca a jedna z kobiet spytała drugą. Czulaś to? Lekarz zbadał leżącą i przykrył jej uśmiechniętą twarz prześcieradłem. Pomału wszyscy opuszczali pokój. Dopiero na korytarzu zaczęła się mniej, więcej taka dyskusja. Poczuleś? Poczulem, ale nie wiem co to było. Ja poczułam jakby chłód, a ja jakby jakiś powiew, a ja nic nie czułem. Mnie się wydawało jakby ktoś się o mnie otarł. Dyskusja na ten temat trwała do wieczora. Jedni twierdzili, że coś czuli inni, że to głupota, bo człowiek umiera i już. I nikt po nikogo z tamtego świata jeszcze nie przyszedł. Następnego ranka ten temat nic nie stracił na wartości. Najwięcej do powiedzenia mieli ci, co twierdzili, że naprawdę coś czuli. Pielęgniarka, która tego dnia miała dyżur zaproponowała. Słuchajcie kochani niebo za oknami płacze i o spacerze można tylko pomarzyć, może chcielibyście porozmawiać o tym co od wczoraj tak was nurtuje. Spora większość ochoczo przystała na tą propozycję a pozostali nie mieli wyboru. Panowie szybciotko ustawili krzesła w coś na kształt koła tak, aby wszyscy biorący udział w dyskusji widzieli pozostałych. Pielęgniarka, która zaproponowała dyskusję przyjęła na siebie rolę osoby prowadzącej. Kiedy umilkł organizacyjny gwar sformułowała pytanie. Kto z państwa odniósł wczoraj wrażenie, że zdarzyło się coś dziwnego, niewytłumaczalnego, wykraczającego poza codzienność? Na początku cisza, brak chętnych do zabrania głosu. Może pani coś powie pani Aniello – zachęcała prowadząca. Mówiła pani, że coś poczuła. Tak. Poczulałam, tylko nie wiem, jak to opisać – odrzekła kobieta. Coś takiego zdarzyło mi się po raz pierwszy w życiu a chociażby z racji wieku byłam świadkiem nie jednej śmierci

ci. To było coś jak lekki podmuch chłodnego wiatru w bezwietrzny upalny dzień. Jak delikatne muśnięcie twarzy jedwabną chusteczką. Jak? Zabrakło słów by dokończyć myśl. A ja to odczułem inaczej, wtrącił się mężczyzna siedzący po drugiej stronie. Ja czułem jakby ktoś przechodzący w tłumie otarł się o mnie. A ja poczułam wielki chłód. Jak z otwartej lodówki dodała druga kobieta. To na pewno przyszedł po nią jej Franek. Uzupełniła jeszcze inna. Po tych słowach zapadło milczenie. Czy ktoś chciałby jeszcze zabrać głos w tej sprawie? Spytała prowadząca. Nie było jednak chętnych. Muszę państwu powiedzieć, że to co miało wczoraj miejsce jest dość dobrze opisane w książkach z zakresu psychologii. Nie wy pierwsi i nie ostatni ulegliście magii chwili, bo chwila śmierci ma w sobie coś magicznego i tajemniczego. Są tacy, którzy twierdzą, że śmierć jest dopiero początkiem tego co czeka nas potem, a co będzie potem zależy od całego naszego życia. Od wszystkich naszych dobrych i złych uczynków. To piękne marzenie, bo wyzwała w ludziach chęć bycia dobrymi, a przynajmniej tak być powinno. Nie ma jednak żadnych naukowych dowodów ani naocznych świadków, że coś po śmierci nas czeka i że za dobre uczynki będziemy nagrodzeni a za złe ukarani. Za to są dowody, że po śmierci następuje definitywny koniec. Nauka nie zna przypadku, aby ktoś stamtąd wrócił. Oczywiście wiara mówi coś zupełnie innego. Ale o tym każdy sam w swoim sumieniu musi zdecydować. I znów nastąpiło milczenie. Prowadząca wyczerpała temat a słuchacze trawili w sobie to, co usłyszeli.

Poczułem, że przyszedł czas abym zabrał głos. Mówimy tutaj, że nauka nie zna przypadków by ktoś wrócił. Nie zna i nie pozna, bo nie jest to kwestia nauki. Mówimy również, że nie ma na to świadków. Z tym mogę dyskutować. Jeśli interesuje was ten temat opowiem wam co przytrafiło mi się dwa lata temu. Uprzedzam jednak, że to długa historia. Słuchacze skinęli głowami, więc zacząłem. Byście mogli państwo zrozumieć co zdarzyło się dwa lata temu muszę zacząć od początku, czyli od wydarzeń z roku 1943. Jak wszyscy wiemy trwała w tym czasie okupacja niemiecka. Spora rzesza młodych ludzi nie mogąc pogodzić się z otaczającą rzeczywistością wstąpiła do organizacji podziemnych chcąc walczyć ze zniechęconym najeźdźcą. Ja i mój brat bliźniak, podobny do mnie jak dwie krople wody również uczestniczyliśmy czynnie w ruchu oporu. Byliśmy zbyt młodzi by powierzano nam poważne zadania. Pisaliśmy więc hasła na murach, rozrzucaliśmy ulotki lub obrzucaliśmy wyzwiskami granatową policję. Spełnialiśmy też rolę kurierów dostarczając w umówione miejsca informacje lub przesyłki. Do tego mój brat obdarzony duszą poety pisał wiersze i wymyślał różne śmieszne rymowanki wyszydające wroga. Czuliśmy się jednak niespełnieni. Chcieliśmy strzelać do wroga i patrzeć, jak ginie. Chcieliśmy wykonywać wyroki na zdrajcach i kolaborantach. Nasza młodość aż rozpierała nas od środka, lecz dowództwo każdą prośbę o udział w prawdziwej akcji kwitowało krótko – nie, musicie jeszcze dorosnąć wtedy przyjdzie wasza kolej. Tak mijał miesiąc za miesiącem. Zbliżało się Boże Narodzenie 1943 r. Jakiś tydzień przed wigilią udałem się na spotkanie naszej grupy do starego tartaku nad rzeką. Kiedy przyszedłem było już kilka osób, między innymi mój brat. Po chwili byliśmy w komplecie. Trzech chłopaków i jedna dziewczyna, czyli cała drużyna Sępa, taki pseudonim miał nasz dowódca Jacek. Niewiele od nas starszy, lecz miał doświadczenie wyniesione z harcerstwa. Słuchajcie powiedział – nareszcie dostaliśmy prawdziwe zadanie. Musimy wykonać wyrok na pewnej ładnej paniencie, która niestety zeszła na złą drogę i puszcza się z Niemcami. Trzeba ogolić ją na łyso, żeby przypomniała sobie, gdzie jest jej miejsce. Do chwili wykonania zadania zostały trzy dni. Nie wiem dlaczego, ale wyrok musi być wykonany dzień przed wigilią, oto plan akcji, powiedział kładąc na desce kartkę ze szkicem. Tu jest ulica, to klatka schodowa, to wejście do jej mieszkania – objaśniał pokazując palcem kolejne punkty na rysunku. W pewnym momencie zamilkł by dokończyć po chwili. No i tu mamy pewien problem. Jedno z nas stanie na czatach na ulicy, w tej roli widziałbym Basię. Drugi na klatce schodowej, to był by Adam, – Czyli mój brat. Zostaje dwójka by wejść do środka i zrobić co trzeba, a to jest kawał baby. Tak na oko licząc jakieś sto kilo żywej wagi. Przydałby się ktoś trzeci. Przecież nie chcemy jej skrzywdzić tylko czegoś nauczyć. Dlatego wystąpiłem do dowództwa o przydział dodatkowego człowieka. Prawdopodobnie jutro go pozna-

my. Omówiliśmy jeszcze kilka spraw organizacyjnych dotyczących naszego oddziału a szczegóły akcji odłożyliśmy do następnego dnia. Na zakończenie spotkania tradycyjnie Adam przeczytał swój nowy wiersz. Wszyscy czekali na ten moment, bo jego poezje zawsze napawały nas optymizmem. Tym razem był to piękny wiersz o miłości. Muszę wam wyjaśnić, że Adam miał ten dar od Boga by z kilku prostych słów sklecić poemat. Jutro o szesnastej w tym samym miejscu. Sęp zakończył spotkanie i rozeszliśmy się jak zawsze pojedynczo, każdy w innym kierunku.

Nazajutrz wraz z bratem udaliśmy się na spotkanie dużo wcześniej niż to było zaplanowane. Usiedliśmy na starych drewnianych belkach nad samą wodą. Adam był jakoś melancholijnie nastrojony nie chciał podjąć żadnego z tematów, które podrzucałem. W końcu ujął mnie za rękę i powiedział – musisz mi coś przyrzec. Jeśli to będzie mądre to przyrzeknę – odparłem. Napisałem pewien wiersz. Napisałem go tylko dla siebie. Jeśli cokolwiek by mi się przytrafiło chciałbym abyś przeczytał go, gdy będziesz się ze mną żegnał lub w sytuacji, którą sam uznasz za wyjątkową. To mówiąc wręczył mi kartkę złożoną na czworo. Chyba zgłupiałeś – wykrzyknąłem, całkiem ci odbiło i rzuciłem papier na ziemię. On podniósł go i powtórnie mi wręczył. Być może zgłupiałem, ale przyrzeknij. Wiłem się jak piszkor, ale on wiercił mi dziurę w brzuchu. Chciał, nie chciał musiałem się zgodzić. Czy mogę ten wiersz przeczytać teraz – spytałem? Nie, przeczytasz go, kiedy przyjdzie odpowiednia pora. Schowałem kartkę do kieszeni, bo właśnie przyszła Basia a zaraz po niej Sęp prowadząc jakiegoś gościa. To nasz piąty, Rysiek – przedstawił nowego dowódcę. My również po kolei przedstawiliśmy się. Po krótkiej prezentacji przystąpiliśmy do omawiania sedna sprawy. Planowaliśmy wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Cała akcja musi odbyć się szybko, sprawnie i po cichu – zaznaczył Sęp. Ponieważ ja jeden będę miał pistolet postaram się tak ją przestraszyć, żeby ani nie pisnęła. Najwięcej czasu poświęciliśmy ewakuacji po wykonaniu zadania. Na tą okazję przygotowaliśmy kilka wariantów uwzględniających wszystkie możliwe drogi ucieczki łącznie z dachem. Po ponad godzinnej debacie stwierdziliśmy, że nic więcej nie wymyślimy. Do zobaczenia po jutrze o czternastej pod umówionym adresem – rzucił komendę nasz dowódca kończąc spotkanie. Wracałem do domu z Adamem. Po drodze rozmawialiśmy o czekającej nas akcji. Niby nic wielkiego, ale trochę adrenaliny wyzwalała. Nie podoba mi się ten Rysiek – stwierdził brat. Cemu tak go oceniasz spytałem? Źle mu z oczu patrzy i tyle. Nie mam do niego zaufania. W tym miejscu musieliśmy przerwać naszą dyskusję, bo właśnie weszliśmy do klatki schodowej a w domu nie rozmawiamy na tematy służbowe. Następnego dnia w sklepie zupełnie przypadkowo spotkałem Basię. Ale numer – powiedziała stając obok mnie w kolejce po chleb. Przyłożyła usta do mojego ucha i osłaniając je ręką wyszeptała – ta kobieta, którą będziemy strzyc to babka wice komendanta garnizonu w naszym mieście. Dobrze, co? Powiedziała już głośniejszym głosem patrząc mi prosto w oczy. Nie powiem, ta wiadomość stawiała w zupełnie innym świetle naszą akcję. Nadawała jej o wiele wyższą rangę. Już nie mogłem doczekać się jutrzejszego dnia.

Tej nocy kiepsko spałem. Przewracałem się z boku na bok a myśli w głowie nie chciały się jakoś wyłączyć. Kiedy wreszcie moje oczy już prawie się zamykały poczułem nagłą potrzebę skorzystania z wychodka. Po cichutku by nikogo nie zbudzić wstałem i otworzyłem drzwi. Nie mieliśmy własnej toalety, korzystaliśmy z ogólnodostępnej na końcu korytarza. Prześlizgnąłem się do niej jak myszka. Przekręciłem włącznik światła i nic. Chyba żarówka się przepaliła. Cóż było robić, usiadłem po ciemku na sedes i czułem jak błogo kurczy mi się pęcherz. Już chciałem wstać i spuścić wodę, gdy usłyszałem na klatce jakieś szepty i kroki. Najpierw pomyślałem, że to znowu pijany sąsiad wraca do domu, lecz to nie były kroki jednej osoby. Powolutku przesuwalem się w kierunku drzwi, kiedy rozległ się taki hałas jakby dom się walił. Jakiś trzask, łomot, coś się rozleciało a zaraz potem wielokrotnie powtarzane po niemiecku hande hoch. Boże – pomyślałem – przecież oni przyszli do mnie do domu. Przez szparę w drzwiach spojrzałem w kierunku naszego mieszkania. Na klatce przed drzwiami stało trzech żołn-

ierzy z karabinami a w środku słycać było jeden jazgot. Jakieś krzyki po niemiecku przerywane słowami ojca. Panowie to jakaś pomyłka. Intensywnie myślałem, co dalej. Jednego byłem pewien, nie mogę wyjść na korytarz. Spojrzałem w kierunku uchylonego okna i wszystko stało się jasne. Pod oknem był daszek komórki sąsiadów a z niego na podwórko tylko jeden skok. Nie zastanawiałem się ani chwili dłużej. Kiedy lądowałem na daszku usłyszałem, jak ktoś wchodzi do łazienki. Pstryk i zapaliło się światło. Pospiesznie zeskoczyłem z daszku na podwórko. Stałem sztywno pod ścianą i czekałem aż światło w toalecie zgaśnie. Jak to się stało, że mi się nie zapaliło a teraz tak? Po chwili zrozumiałem, że gdyby stało się inaczej było by już po mnie. Przez sąsiednią klatkę wszedłem na dach naszego domu, z za komina obserwowałem ulicę. Widziałem jak wyprowadzają i wpychają do suki matkę, ojca i brata. Z bezsilności zaciskałem pięści a łzy jak grochy spływały mi po policzkach. Jeszcze długo patrzyłem w miejsce, gdzie za zakrętem zniknęły samochody nie mogąc pojąć, co się stało. Z linki na strychu zdjąłem wilgotne jeszcze spodnie i koszulkę, które mama dzisiaj wyprała i zszedłem na podwórze. Przenocowałem na sianie w komórce, w której sąsiad hodował króliki. Kiedy się obudziłem postanowiłem powiadomić resztę grupy o zaistniałej sytuacji i poszukać jakichś wieści o rodzinie. Najbliżej mieszkała Basia. Idąc do niej przechodziłem obok kiosku z gazetami, w którym sprzedawała jej sąsiadka. Zobaczyła mnie i przywołała do siebie. Idziesz do Basi – spytała? Tak, muszę ją o czymś powiadomić. No to się spóźniłeś. Dziś w nocy aresztowali ją i matkę. To niemożliwe, dlaczego. Teraz już całkiem przestałem cokolwiek rozumieć. Wszystko kotłowało mi się w głowie, nie mogłem dojść do żadnych racjonalnych wniosków. Jak dowiedzieć się, o co w tym wszystkim chodzi i co dzieje się z moją rodziną. Przecież nie mogę iść na gestapo i tak po prostu zapytać. Idę do Sępa on na pewno będzie wiedział co robić. Wskoczyłem do tramwaju i podjechałem trzy przystanki. Potem jeszcze dwie ulice piechotą i praktycznie byłem na miejscu. Zanim przeszedłem przez ulicę omiotłem wzrokiem okna jego mieszkania i jakby przeszył mnie prąd. W jednym z nich zobaczyłem stojącego tyłem do ulicy niemieckiego żołnierza, machinalnie skrzyłem do najbliższej bramy. Stałem w jej mroku nie odrywając wzroku od okien naprzeciwko. Co jakiś czas przemykały w nich postacie w niemieckich mundurach. O co tu chodzi myślałem. Wszyscy z naszej grupy zostali aresztowani. Tylko mnie się udało chyba wyłącznie dzięki Boskiej pomocy. Stałem w bramie ponad dwie godziny z oczami wlepionymi w okna po przeciwnej stronie. Widziałem jak z budynku wychodzi dwóch żołnierzy i jakiś oficer a potem jeszcze dwóch gości w skórzanych płaszczach. Prawdopodobnie gestapo.

Co teraz – myślałem intensywnie i w końcu wymyśliłem. Pojadę do wujka Kazia on na pewno będzie wiedział co robić. Wahałem się jeszcze przez chwilę by stwierdzić. Tak, tak będzie najlepiej. Wszedłem z bramy i ruszyłem w kierunku dworca kolejowego, lecz po kilkunastu krokach uświadomiłem sobie, że przecież nie mam pieniędzy na bilet. To po pierwsze. A po drugie w pociągach są częste kontrole żandarmów i granatowej policji a ja bez dokumentów i nie ma gdzie uciec. Trudno, trzeba iść na piechotę. Do gospodarstwa wujka było ponad dwadzieścia kilometrów a na nogach miałem jedynie marne cienkie skórzane kapcie, ale w głowie nie było żadnego innego pomysłu. Obróciłem się więc na pięcie i obrałem kurs na Komorów. Miejscowość, w której mieszkał wujek. Ciężko mi się szło, bo laczki szurały po betonie, więc musiałem wysoko podnosić nogi. Przechodząc obok jakiegoś śmietnika zobaczyłem stertę starych gazet obwiązaną sznurkiem i wpadłem na genialny pomysł. Odwinąłem sznurek i przywiązałem nim kapcie do stóp. Mniej więcej tak jak wiązałem zimą łyżwy do butów. Resztę sznurka schowałem do kieszeni na wszelki wypadek. To był naprawdę świetny pomysł. Szło się prawie jak w butach a przede wszystkim o wiele szybciej. Kiedy już nie musiałem myśleć o podnoszeniu nóg zacząłem rozważać wydarzenia minionej nocy. Dwa zasadnicze pytania nasuwały się same. Dlaczego cała grupa została aresztowana, oraz jak to się stało, że ja ocalałem. Jeśli chodzi o pierwsze pytanie to jedyną rozsądną odpowiedzią była zdrada, lecz kto był ewentualnym zdrajcą? Ciekawiło mnie też okrutnie czy Rysiek został aresztowany, ale nie wiedziałem nawet gdzie go szukać. W tej kwestii postanowiłem poczekać na jakieś informacje. Człapałem krok za krokiem i jakiś czas temu wyszedłem poza miasto. Byłem przeko-

nany, że półmetek mam już za sobą, gdy pękł pierwszy sznurek. Nie szkodzi mam zapas powiedziałem sam do siebie. Szybko naprawiłem obuwie i pomaszerowałem dalej. Jak to się stało, że nie zostałem aresztowany. To pytanie jak natrętna mucha wracało do mnie. Nie mogłem zasnąć. Nic nadzwyczajnego, zdarzało się i przedtem. Zachciało mi się wyjść za potrzebą. To też czasem mi się przytrafiało w nocy. Włącznik światła w kiblu nie zadziałał. Jest stary myślałem i ma prawo szwankować. Lecz dlaczego podłoga na korytarzu nawet nie skrzygnęła, choć zwykle piszczy i trzeszczy jak głupia. Pewnie dlatego że szedłem ostrożnie. Znalazłem sobie wytłumaczenie. Każdy z tych elementów pojedynczo dawał się logicznie wytłumaczyć, lecz wszystkie razem tworzyły nieprawdopodobną całość. Musiałem znów przerwać moje rozmyślanie, bo drugi sznurek przetarł się na drobne niteczki. Wymieniłem go i spojrzałem na drogę, z którą przyjdzie mi się jeszcze zmierzyć. W oddali rozpoznałem wieżę kościoła, do którego wuj jeździ w niedzielę. Z radością oceniłem, że zostało mi jakieś cztery kilometry, nie więcej. Zajęło mi to niecałą godzinę. Szedłem teraz nieco wolniej, bo z moich laczków niewiele zostało.

Kiedy wszedłem do izby ciotka złapała się za głowę. Dziecko – wykrzyknęła – jak tyś tu przyszedł. Wuj od razu zorientował się, że nie jest to zwykła wizyta. Posadził mnie przy stole, daj mu mleka i zrób coś do jedzenia – powiedział do ciotki a do mnie zwrócił się – mów. Opowiedziałem wszystko ze szczegółami, dodałem do tego swoje przemyślenia. Gdy skończyłem ciotka pobiegła szybko do drugiego pokoju i zapaliła świeczkę pod obrazem Matki Bożej a potem się rozplakała. No tak – po dłuższym czasie powiedział wujek – jutro się tym zajmę, muszę tylko pomyśleć, od czego zacząć. W pokoiku na górze ciotka przygotowała mi łóżko. Nie musiało na mnie długo czekać. Pamiętam jak się kładłem a potem już nic. Zmęczenie plus wrażenia zrobiły swoje. Następnego dnia wujek opuścił dom z samego rana. Nie było go aż do kolacji. Gdy tylko wrócił poprosił mnie i ciotkę do kuchni. Jest dobrze i niedobrze – powiedział. Dobrze, dlatego że twoja matka jest już w domu a ojca prawdopodobnie jutro wypuszczą. Niedobrze, ponieważ twojego brata gdzieś wywieźli i nie mogę się dowiedzieć gdzie. Mama Basi również jest już w domu, lecz o niej samej nic nie wiadomo. Niczego też się nie dowiedziałem o twoim dowódcy ani o tym Ryśku. W domu jesteś spalony, nie możesz się tam pokazać przez wzgląd na bezpieczeństwo twoje i twoich rodziców. Kolejne dwa dni nie przyniosły żadnych wieści. Ja codziennie od rana do wieczora pomagałem w gospodarstwie. Kiedy nie było już nic do roboty wyszukiwałem sobie zajęcia, żeby tylko nie myśleć. Trzeciego dnia wujek znowu pojechał do miasta by zdobyć jakieś wiadomości. Gdy wrócił minę miał nie tęgą. Co prawda mój ojciec wrócił do domu, lecz o bracie, Basi i dowódcy nie było żadnych wieści. Musisz na jakiś czas iść do lasu, do chłopaków – powiedział, u nas nie jesteś bezpieczny, mogą cię szukać. Tylko jak do nich dotrzeć – spytałem? O to się nie martw, jutro się dowiesz. Nie zadawałem zbędnych pytań. Wiedziałem już, że wujek ma jakieś kontakty z partyzantami. Cieszyłem się na myśl o tym, że wreszcie będę w prawdziwym ruchu oporu, że wreszcie będę naprawdę walczył, a teraz muszę to robić za dwóch, za siebie i brata. Z wrażenia długo nie mogłem zasnąć. Gdy więc wreszcie zasnąłem rano nie mogłem się obudzić. Wtedy to dopiero bym spał. Wreszcie głos ciotki z kuchni śniadanie na stole, zerwał mnie na równe nogi. Zjedliśmy przygotowaną przez ciotkę jajecznicę na smalcu popijając gorącą kawą zbożową. Zaprzęgliśmy konia do wozu i ruszyliśmy w kierunku lasu. Jedziemy teraz wyrabiać gałęziówkę po ścinie. Potem powiem ci, co masz robić – oznajmił wujek.

Po około czterdziestu minutach jazdy wyjechaliśmy na wielką polanę pełną powalonych drzew. Dostałem do ręki siekiere i pokazano mi jak obcinać gałęzie. Zabrałem się ochoczo do pracy. Z siekiere obeznany byłem od maleńkości, więc szło mi całkiem nieźle. Około południa ogłoszono przerwę na posiłek. Usiedliśmy z wujem w cieniu furmanki i pałaszowaliśmy kanapki, które dała nam ciocia. W pewnym momencie wujek powiedział. Za chwilę spojrzysz w prawo i zobaczysz faceta w niebieskiej koszuli. Jak skończymy śniadanie zaczniesz pracować blisko niego a po pracy pójdziesz za nim. Wszystko jest umówione, zobaczymy się dopiero jak będzie to możliwe, a jeśli zdobędę jakieś nowe wia-

domości dostaniesz je. Choć byłem jeszcze nastolatkiem musiałem myśleć jak dorosły. Konspiracja rządziła się swoimi prawami i każdy nieprzemyślany ruch mógł skończyć się wielką wyspą. Zrobiłem tak jak było ustalone. Po skończonej pracy udałem się w ślad za mężczyzną w niebieskiej koszuli. Była nas spora gromada, dziesięć może dwanaście osób. Szliśmy leśnymi duktami, potem wydeptanymi drózkami jeszcze później wąskimi ścieżkami by na koniec przebijać się przez leśną gęstwinę. Już myślałem, że utknijemy w jakimś maceczniku, gdy nagle poczułem zapach ogniska. Gęste chaszcze skończyły się i stanęliśmy na sporej polanie tu i ówdzie przerośniętej drzewami. Na samym środku stał niewielki drewniany barak, dookoła którego widać było sporo ledwie wystających z gruntu ziemianek, wszędzie było pełno ławek z na pół przeciętych bali i stołów z nieoheblowanych desek. Nieopodal baraku wymurowana z cegieł była kuchnia polowa, przy której kręciło się kilka osób. Stałem i ogarniałem wzrokiem całe to gospodarstwo, kiedy podszedł do mnie mężczyzna za którym tu przyszedłem. Cześć przywitał się a ja odpowiedziałem na pozdrowienie. Wujek opowiedział mi wszystko, teraz tu będzie twój dom. Dostałeś przydział do drużyny kwatermistrza, to ten – wskazał palcem mężczyznę stojącego obok baraku. Zameldujesz się u niego, on ci wszystko wyjaśni. Tak jest odrzekłem przyjmując postawę zasadniczą. Rozmówca uśmiechnął się i odszedł. Kręciłem się trochę po obozie zaglądając we wszystkie zakamarki aż mało nie wpadłem na kwatermistrza. Panie plutonowy miałem zgłosić się do pana – powiedziałem widząc belki na naramiennikach. No tak, mówili mi już o tobie. Dołączysz do obsługi kuchni. Dostaniesz pseudonim Krasnal. Czemu Krasnal spytałem zdziwiony? A ile masz wzrostu. Zapytał. Metr dziewięćdziesiąt trzy, odparłem. No to już wiesz. Zgłosisz się do tego chudego tam przy piecu, on będzie twoim bezpośrednim dowódcą, – co mówiąc odmaszerował szybkim krokiem. Przez chwilę patrzyłem na chłopaków kręcących się wokół kuchni. Nie tak chciałem walczyć z Niemcami, ale rozkaz to rozkaz. Wieczorem przy wydawaniu posiłków dowiedziałem się, że oddział liczy razem z nami trzydziestu sześciu żołnierzy. Bardzo szybko zapoznałem się ze wszystkimi i choć większość z nich była o wiele starsza ode mnie traktowany byłem jak równorzędny kolega.

W oddziale byłem już jakieś trzy tygodnie, gdy wezwał mnie dowódca. Kiedy wszedłem do jego ziemianki było tam jeszcze dwóch oficerów w mundurach polowych, których nie znałem. Poprosili bym usiadł i wypytywali o naszą niedoszłą akcję. Opowiedziałem wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Wtedy oni zapytali, czy rozpoznałbym tego Ryśka? Oczywiście odparłem. Choć widziałem go tylko raz przez niespełną godzinę jego twarz zapamiętałem doskonale. Położyli na stole zdjęcie. Nie musiałem go nawet brać do ręki żeby stwierdzić, że to ta sama twarz. Czy to on nas zdradził – Spytałem? Nie tylko was, ma dużo więcej na sumieniu. Tak naprawdę nie ma na imię Rysiek, lecz Roman, Roman Nowak. Dowódca podziękował mi, więc się odmeldowałem, lecz zanim wyszedłem jeden z nieznanomych złapał mnie za ramię i powiedział – mam dla ciebie list od twojego ojca, po czym mi go wręczył. Łzy zakręciły mi się w oczach i wybiegłem z ziemianki. Usiadłem pod wielkim bukiem z dala od wszystkich i zacząłem łapczywie czytać. Ojciec pisał, że u nich wszystko w porządku oczywiście oprócz tego, że o moim bracie nie ma żadnych wieści. Poruszyli wszystkie możliwe kontakty, lecz nic to nie dało. Prawdopodobnie Adama, Basię i Jacka wywieziono do jakiegoś obozu. Ale i tak – pisał dalej – jesteśmy szczęśliwi, że tobie się udało. Przeczytałem list chyba z dziesięć razy, za każdym razem z nadzieją, że czegoś jeszcze się dowiem, może coś przeoczyłem, lecz ten kończył się zawsze tak samo. Roman Nowak, Roman Nowak – przypomniało mi się. To nazwisko muszę zapamiętać. Adam nie mylił się co do niego – pomyślałem. Pewnie zobaczył w jego oczach coś, co nam umknęło. Otarłem łzy i wróciłem do kuchni. Oddział partyzancki, do którego trafiłem miał niebywałe szczęście. Trzykrotnie Niemcy organizowali na nas obławy i trzykrotnie udawało się nam wyjść z okrążenia. Za każdym razem musieliśmy budować nowe obozowisko jak mrówki, którym ktoś rozwalił kopiec. Mieliśmy dużo szczęścia, ale mieliśmy też straty. Od chwili, kiedy przyszedłem do oddziału do końca wojny przewinęło się przez niego blisko dwustu ludzi. Stu pięćdziesięciu trzech zginęło lub zostało pojmanych w akcjach i leśnych walkach z

Niemcami.

Gdy przyszło wyzwolenie nie byłem już smarkaczem, który trafił przez przypadek do partyzantów. Byłem prawdziwym żołnierzem, zahartowanym w boju pod gradem kul i wybuchów granatów. Kiedy tylko oddział został rozwiązany wróciłem do miasta. Z rodzicami widywałem się już wcześniej, lecz w domu nie byłem. Wszystko było takie dziwne, jakby z zupełnie innej bajki. Zacząłem szukać brata wszelkimi możliwymi sposobami. Największe nadzieje wiązałem z poszukiwaniami przez Czerwony Krzyż, lecz po tygodniu, miesiącu i roku nadal nie mieliśmy żadnych wieści. Życie, choć w wielu przypadkach na gruzach zaczęło wracać do normy. Ja rozpocząłem pracę w zajezdni tramwajowej a wieczorami chodziłem do szkoły. Skończyłem liceum, potem zaoczne studia i w tej samej zajezdni objąłem stanowisko inspektora nadzoru. O losach Adama dalej nic nie wiedzieliśmy. Od czasu wyzwolenia moi rodzice uznawali pierwszy wrzesień, czyli dzień wybuchu wojny za dzień śmierci swojego syna a mojego brata. Mówili, że tego dnia na niego i na miliony ludzi Hitler wydał wyrok śmierci. W tym roku przypadała dziesiąta rocznica. Uznałem, że to już czas. Spytałem rodziców czy w tak piękny dzień mają ochotę przejść się na spacer. Przytaknęli ochoczo. Z kasetki, w której trzymałem swoje największe skarby wyjąłem kartkę, która przetrwała ze mną okres wojny i którą strzegłem jak oka w głowie. Włożyłem do kieszeni i poszliśmy. Nie zdradziłem im gdzie i po co idziemy, lecz dyskretnie prowadziłem tam gdzie do niedawna był stary tartak a obecnie jest kawiarnia nad samym brzegiem rzeki. Kiedy doszliśmy zaproponowałem byśmy się czegoś napili. Usiedliśmy przy stoliku a kelner podał nam oranżadę. Sączyliśmy musujący napój a ja zastanawiałem się jak zacząć. Wiecie, że w tym miejscu nasza grupa planowała tę niedoszłą akcję. Wiemy synku powiedziała mama, wiemy. Ilekroć przechodzę tędy myślę o tym – dodała. Z tym miejscem wiąże się coś jeszcze. To tutaj w dzień przed aresztowaniem Adam dał mi kartkę z wierszem, który napisał. Rodzice dostali wielkich oczu a ja kontynuowałem. Powiedział, że ten wiersz jest tylko jego i mam go przeczytać kiedy będę się z nim żegnał lub w jakichś szczególnych okolicznościach. Myślę, że już czas go pożegnać i że jest to dzień szczególny. Co o tym sądzicie? Oboje patrzyli na mnie, lecz nie byli w stanie nic wydusić. Wreszcie mama zapytała – masz ten wiersz? Oczywiście – odparłem. Inaczej bym was tu nie przyprowadził. Wyjąłem z kieszeni kartkę i położyłem na stole. Jest tak złożona jak złożył ją Adam – dodałem. Nigdy do niej nie zaglądałem. Trzymałem rękę na kartce leżącej na blacie a wszystkie oczy były w nią wlepione. Mama wyjęła z torebki chusteczkę i ukryła twarz w dłoniach. Ojcu też oczy się zaszklily. Widać było, z jakim trudem stara się opanować łzy. I mnie po policzkach też pociekło, choć przyrzekałem sobie, że się nie rozplaczę. Wsunąłem kartkę pod wazonik z kwiatami i sięgnąłem po chusteczkę. Siedzieliśmy i patrzyliśmy na kawałek papieru, który miał w sobie jakąś magiczną moc. Pomału emocje zaczęły opadać, mogliśmy znów rozmawiać. Poczekajmy jeszcze chwilę – powiedziała mama – nie chciałabym się całkiem rozkleić. Kończyliśmy pić oranżadę, gdy odezwał się tata. Powiedział krótko – teraz. Mamo czy ty chcesz go przeczytać – spytałem. Nie – odparła – Adam prosił ciebie.

Wyciągnąłem kartkę spod flakonika, rozłożyłem i zacząłem czytać. Kiedy skończyłem nastąpiła długa cisza. Podąłem kartkę mamie a ona przesuwając wzrokiem powtórnie ogarniała treść wiersza. To bardzo piękny wiersz – powiedziała – prosty i mądry. Ojciec również wziął kartkę i bacznie ją studiował. Kiedy mi ją oddawał drżącym głosem rzekł. Nie sądziłem, że po tylu latach Adam do nas przemówi. W ten sposób pożegnaliśmy Adama tracąc nadzieję na jego powrót. Krótko potem dostałem propozycję objęcia posady dyrektora technicznego. Robiłem karierę nie myśląc nawet o założeniu własnej rodziny. Lata mijały, opamiętałem się dopiero, kiedy zauważyłem jak bardzo zestarzelili się moi rodzice. Pamiętam, że często wtedy siadałem przed lustrem i patrząc na swoje odbicie myślałem co przegapiłem. Umiałem walczyć z Niemcami a nie umiałem powalczyć o własne szczęście. Nie dałem rodzicom wnuków na które tak czekali. Mama umarła pierwsza, rok później ojciec, zostałem sam jak palec. Ani się obejrzałem a byłem na emeryturze. Podróżowałem, zwiedzałem świat. Bawiłem się, a starość jak lis do kurnika skradała

się do mnie cichutko i nieodwołalnie. W końcu przestałem funkcjonować samodzielnie. Na początku zatrudniłem gosposię, lecz po jakimś czasie przestało to wystarczać. Pieniądze nie były problemem, miałem je. Wykupiłem więc sobie pokój w domu seniora niedaleko stąd. Mieszkałem tam niespełna rok, kiedy przywieźli jakiegoś mężczyznę. Prawie nie widział i był częściowo sparaliżowany, wyglądał bardzo staro. Całkowita łysina i długa broda dodawały mu lat. Ciągle coś mamrotał pod nosem, trudno było zrozumieć całe zdanie, czasem jakieś słowo. To jest pan Roman – powiedziała pielęgniarka przedstawiając nowego pensjonariusza. Woziliśmy go na wózku inwalidzkim po korytarzu lub wyjeżdżaliśmy z nim na spacer. Kto miał chwilę czasu i ochotę to się nim zajmował. Któregoś rano wszyscy już byli na śniadaniu a pana Romana nie widać. Zawsze o tej porze pielęgniarki przywoziły go na stołówkę i karmiły a dzisiaj go nie ma, za to z jego pokoju dochodziły dziwne dźwięki. Nikt nie jadł, wszyscy patrzyli w tamtą stronę. Nagle drzwi otworzyły się i wjechał nasz nieobecny. Wyglądał jakby uciekł spod kosiarki. Z dziesięć plastrów przyklejonych do twarzy a skóra czerwona jak burak za to całkowity brak zarostu. Panie na ten widok trochę się podśmiewały a jeden z panów zapytał – Romek gdzieś ty był, na świniobiciu? Atmosfera była wesoła a mnie było go żal. Zaraz po obiedzie pielęgniarki odkleiły mu plastry i obmyły twarz, teraz przypominał człowieka.

Po obfitym posiłku zapragnąłem spaceru podszedłem więc do jego wózka i spytałem – chcesz się przewietrzyć – kiwnął głową, że tak. Chwyciłem jego wózek i popchałem w kierunku zjazdu do ogrodu. Sunęliśmy powoli alejkami, gdy mijająca nas kobieta powiedziała – ślina mu cieknie. Wyjąłem z torby w wózku kawałek ligniny i kucnąłem naprzeciwko by ją obetrzeć. Wycierałem ciekącą stróżkę i tak naprawdę po raz pierwszy dokładnie mu się przyjrzałem. Patrzyłem na niego, jakaś siła nie pozwalała mi oderwać wzroku. Miałem nieodparte wrażenie, że skądś go znam. Poznałem tą twarz, lecz nie pamiętałem, gdzie i kiedy widziałem ją poprzednio. Zrobiliśmy kilka kółek ogrodowymi alejkami i wróciliśmy do budynku. Zanim zasnąłem tego wieczora kilkakrotnie jeszcze myślałem skąd ja go znam. Czwartą czterdzieści pięć. Taką godzinę wskazywał zegar, kiedy zerwałem się na równe nogi i próbowałem ustalić co mnie obudziło. Nagłe olśnienie spadło na mnie jak lawina. Już wiem gdzie widziałem tę twarz. Oczywiście. Rysiek. To jest twarz Ryśka, czyli Romana Nowaka. Imię się zgadza. Nazwisko też musi się zgadzać. O spaniu nie było już mowy. Za oknem widoczne były pierwsze symptomy wschodu słońca. Włączyłem nocną lampkę i zacząłem chodzić po pokoju, lecz ta czynność ani trochę nie chciała przyspieszyć biegu wskazówek. Usiadłem na łóżku i wziąłem do ręki gazetę. Niestety nie bardzo wiedziałem o czym czytam a w tyłek żarły mnie jakieś owsiki. Siedzenie odpadało, więc znów zacząłem krążyć po pokoju zerkając co chwilę jak sekundnik okrąża tarczę zegara. Nie pamiętam by jeszcze kiedyś czas tak wolno mi płynął. Dotrwałem jednak do siódmej i wyszedłem na korytarz. W pokoju lekarskim słychać było rozmowę, co znaczyło, że personel naszego domu szykuje się już do kolejnego pracowitego dnia. Podszedłem do otwartych drzwi i zapukałem. O rany, pan już nie śpi? Zdziwionym głosem spytała jedna z pielęgniarek. Pani Małgosiu – zwróciłem się do niej – proszę mi powiedzieć, jak ma na nazwisko Roman, ten nowy. A po cóż to panu, spytała przypatrując mi się uważnie. Pani Małgosiu ja go znam z przeszłości i próbuję go jakoś umiejscowić. Po chwili namysłu powiedziała – Nowak, tak Roman Nowak. Choć spodziewałem się takiej odpowiedzi nogi ugięły się pod mną. Dobrze że trzymałem się mocno futryny, bo na pewno bym upadł. Otrząsnąłem się jednak szybko i wróciłem do swojego pokoju. Usiadłem na łóżku a wzrok mój bezwiednie zaczął omiatać pokój. Zatrzymał się dopiero na małym drewnianym krzyżyku wiszącym nad drzwiami. Patrzyłem na niego i jak długo mogłem zwlekałem z zadaniem pytania, które cisnęło mi się na usta. Boże, dlaczego na stare lata znów postawiłeś tego człowieka na mojej drodze? Siedziałem w tej zadumie nie ruszając się z miejsca, kiedy usłyszałem gong obwieszczający śniadanie. Długo celebrowałem moment wyjścia z pokoju. Tak bardzo chciałbym być teraz gdzie indziej. Pozbierałem się jednak i poszedłem na stołówkę. Wszyscy jedli już, lecz Romana nie było. Gdy odbierałem swoją porcję spytałem – gdzie jest Roman? Źle się czuje, więc śniadanie dostanie do łóżka –

Usłyszałem. Z jednej strony ucieszyłem się, że dziś go tu nie ma a z drugiej poczułem jakiś wewnętrzny niepokój. Tak było przez kilka dni. Codziennie gryzłem się z własnymi myślami a Roman czuł się coraz gorzej. Któregoś dnia strasznie lało. Było szaro, buro i nudno. Zupełnie tak jak dziś. Jak zawsze, kiedy niebo płacze i nie ma, co z sobą zrobić. Jedna z pań zaproponowała abyśmy zabawili się we wspomnianki. Robiliśmy tak zawsze, kiedy nie było innego pomysłu. Przecież, czego, jak czego, ale wspomnień to nam nie brakowało. W naszym pokoju dziennym, czymś w rodzaju świetlicy było miejsce przeznaczone do takich zabaw. Siadaliśmy wtedy w krąg dookoła stołu a ten, kto czuł wenę do opowiadania zaczynał. Potem wszystko szło na żywioł i czasami było jak na jarmarku. Nieraz bywało na smutno innym razem na wesoło, że boki rwać. Zajęliśmy już swoje miejsca w fotelach i patrzeliśmy po sobie, kto zacznie. Na razie nie było chętnych. W ciszy, która zapanowała usłyszeliśmy, że pielęgniarki, które były dziś na dyżurze poruszają się znacznie szybciej niż zwykle. Wszystkie twarze skierowały się w stronę pokoju lekarskiego. W krótkim czasie zorientowaliśmy się, że przyczyną zamieszania jest Roman. Drzwi do jego pokoju prawie się nie zamykały, ciągle ktoś wchodził lub wychodził. Kiedy przyjechało pogotowie a zaraz po nim nasz kapelan mieliśmy już pewność – niedobrze z nim. Pogotowie w końcu odjechało a Roman został. Po około godzinie ksiądz wyszedł z jego pokoju, stanął tuż za drzwiami, w rękę trzymał różaniec a na jego twarzy widać było wielkie skupienie. Spojrzał w naszą stronę i podszedł widząc chyba, jak bardzo pragniemy się czegoś dowiedzieć.

Co z nim – zapytał ktoś. Pan Bóg już trzyma w rękę jego świeczkę i on o tym wie. Dręczą go jednak koszmary z przeszłości, choć odpokutował już swoje winy w więzieniu. Ciągłe powtarza, że bardzo żałuje i prosi wszystkich o wybaczenie, spowiedź również nie przyniosła mu ulgi. Cóż. Czasem popełniamy takie czyny, których potem sami sobie nie możemy wybaczyć. Po tych słowach nastąpiła dłuższa cisza. Zebrałem się w sobie i zwróciłem do księdza. My dwaj wiemy, co tak bardzo dręczy Romana. Ksiądz wie ze spowiedzi a ja przeżyłem to wiele lat temu. Czy myśli ksiądz, że mam prawo opowiedzieć to tutaj w tym gronie? Wszystkie oczy skierowały się w moją stronę a słowo zdziwienie nie oddaje w pełni wyrazu twarzy moich słuchaczy. To twoja historia – usłyszałem w odpowiedzi – i ty o tym decydujesz, myślę jednak, że gdyby wszyscy ją poznali to każdy sam mógłby zdecydować w swoim sumieniu czy ten człowiek zasługuje na wybaczenie czy nie. Przez chwilę zastanawiałem się jeszcze, co powinienem zrobić i w końcu podjąłem decyzję. Opowiedziałem im tą samą historię, którą wam przedstawiłem tyle że w ogromnym skrócie. Zapanowała taka cisza, że słyhać było muchy tłukące się przy oknie. Przerwałem ją mówiąc – za chwilę obiad, jeżeli będziecie mieli ochotę możemy później dokończyć tą rozmowę – wstałem i poszedłem na stołówkę. Przy obiedzie również panowała cisza jak makiem zasiał. Nie słyszałem by padło choćby jedno słowo. Po skończonym posiłku miałem zamiar iść do swojego pokoju by odpocząć trochę, lecz wychodząc ze stołówki dostrzegłem, że wszyscy zgromadzili się w naszym salonie i żywo o czymś dyskutują. Podszedłem bliżej. Grupka ludzi rozstała się i wpuściła mnie w sam środek. Zauważyłem też, że ksiądz nie opuścił nas i jest tu ciągle z nami. To właśnie on przemówił do mnie. Posłuchaj mnie synu, my wszyscy tu zgromadzeni doszliśmy do wniosku, że szczerzy żal za popełnione winy jest godzien przebaczenia, lecz to od ciebie zależy, czy zechcesz wybaczyć Romanowi jego postępek. Chciałbym tu wiele powiedzieć, lecz nie mogę ci niczego sugerować. Po chwili wahania powiedziałem – jestem pewien, że Adam wybaczył mu już dawno a pokuta Romana powinna skończyć się przed jego śmiercią. Ksiądz objął mnie ramieniem mówiąc, – więc chodźmy do niego, niech wie, że zostało mu wybaczone. Dobrze – powiedziałem – pójdę tylko po coś do pokoju.

Wszystko udało się tak jak tego chcieliśmy. Roman opuścił nas spokojnie i z pogodną twarzą. Ksiądz, który towarzyszył niejednej śmierci nie mógł wyjść z podziwu. Opowiadał później, że nigdy wcześniej nie widział, żeby człowiek, który tak bardzo bał się odejść z powodu swoich win zmarł taki szczęśliwy. To wszystko wasza zasługa mówił, gdy rozmawialiśmy na ten temat, a w szczególności

twoja synu, tu wskazywał na mnie. No i ten wiersz twojego brata, który wyrecytowałeś. Książd był zachwycony. I to w zasadzie jest koniec tej historii, którą wam chciałem opowiedzieć. Była dosyć długa, dlatego chciałbym zapytać, czy ktoś pamięta, o czym mówiliśmy na początku. Oczywiście powiedziała jedna z kobiet. Jesteśmy starzy, lecz nie wszyscy mamy sklerozę. Kilka uśmiechów spuentowało tą wypowiedź. Mówiliśmy o naszej Zofii i naszych odczuciach przy jej śmierci. No właśnie – zauważył jeden z mężczyzn. Te dwie historie miało coś łączyć, ale ja nic takiego nie spostrzegłem. Trudno żeby pan spostrzegł – rzekłem. Do tej pory naprawdę nic ich nie łączy, ale już wyjaśniam. Odejście pani Zofii sprawiło na niektórych z nas wrażenie, że przybył po nią ktoś, na kogo czekała i doczekała się. Kilkoro z nas poczuło nawet obecność tego przybysza. Kiedy umierał Roman ja poszedłem do pokoju by wziąć kartkę z wierszem. Znam go, co prawda na pamięć, lecz chciałem by, choć drobna cząstka Adama też była obecna. Wszedłem więc do pokoju, wyjąłem kartkę z pudełka i zamierzałem wyjść, lecz drzwi były zamknięte. Żadne próby naciskania klamki, wyważania czy napierania na nie z całej siły nie przynosiły efektów. Jeśli to miał być żart to niestosowny, do tego mizerny. Gdybym był choć trochę młodszy wyszedłbym oknem. Usiadłem na łóżku i zastanawiałem się, co to wszystko ma znaczyć. Gdy w pewnym momencie drzwi same otworzyły się. Energicznie wstałem i szybkim krokiem ruszyłem w kierunku pokoju Romana.

Wszyscy stali w korytarzu, a gdy do nich podszedłem klepali mnie po plecach, gratulowali wspaniałej postawy. Słuchałem zdziwiony o czym do mnie mówią i nic nie rozumiałem. A ten wiersz stary to był prawdziwy majster sztyk. Usłyszałem od jednego z mężczyzn. Umarł biedaczyna w spokoju. Dodał ktoś z obecnych. Widać było jaką mu to sprawiło ulgę zauważył jeszcze ktoś. Nie powiedziałem wtedy nic tylko wróciłem do swojego pokoju a nazajutrz zacząłem załatwiać przeniesienie do innego pensjonatu. Nie mogłem tam już pozostać. Wtedy jeszcze nie ogarniałem rozumem tego, co się wydarzyło. Zrozumiałem to dużo później. No dobrze, ale skoro nie pan tam był to kto – zapytała pielęgniarka prowadząca nasze spotkanie. Ten, kto znał wiersz. A kto to był musicie sami sobie odpowiedzieć. Zaległa cisza, która po pewnym czasie stała się nieznośna. Wreszcie ktoś przerwał ją pytaniem. Kilkakrotnie słyszeliśmy o wierszu. Czy możemy poznać jego treść? A czy dzisiejszy dzień ma w sobie coś szczególnego? – spytałem i zaraz sam sobie odpowiedziałem. Oczywiście że tak. Więc posłuchajcie.

Jeśli świat jest wiecznością,

my tylko oka mgnieniem.

Jeśli Bóg jest światłością,

my tylko jego cieniem.

Rodzimy się całkiem nadzy,

z uczynków szyjemy ubranie.

Kto, w jakiej będzie sukni

kiedy przed panem stanie?

Coś uczynił z tym darem

który ode mnie dostałeś?

Czyś pomnożył talenty,
czy je zakopałeś?
O to Bóg cię zapyta
ważąc w ręku twe losy.
Czy piekło jest ci pisane,
czy radość i niebiosy
Od nas tylko zależy
jak zamierzamy żyć
Czy bardziej chcemy mieć,
czy też pragniemy być?
Wybacz i proś o wybaczenie,
a będzie ci dane
Tak mądre słowa Pana
w księgach są zapisane

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

miki, dodano 30.11.2021 21:04

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.